

Szczepan TWARDOCH: *Wieloryby i ćmy. Dzienniki 2007–2015*. Kraków: Wydawnictwo Literackie 2015, ss. 276.

1 D. NOWACKI: *Blogaski w okładkach, czyli jak Dehnel i Twardoch pamiętniki wydali*. „Wyborcza.pl”. Aktualizacja 3 listopada 2015. <http://wyborcza.pl/1,75475,19128896,blogaski-w-okladkach-czyli-jak-dehnel-i-twardoch-swoje-pamietniki.html>.

Artykuł Dariusza Nowackiego pod tytułem *Blogaski w okładkach, czyli jak Dehnel i Twardoch swoje pamiętniki wydali*¹, zawierający omówienie najnowszych książek Szczepana Twardocha i Jacka Dehnela, skupia się zaledwie na socjologicznych, medialnych, pozatekstowych wątkach. Tekst wpływowego krytyka skrywa się za formą recenzji, ale w istocie jest próbą historycznoliterackiej syntezy, opisującej pewną tendencję, której wyrazem są diariusze trzydziestolatków. Zestawienia zwykle są arbitralne i dyskusyjne, nie inaczej jest w przypadku tego kąśliwego szkicu.

Wypowiedź Nowackiego zasadniczo wpłynęła na krytyczną recepcję *Wielorybów i ciem*, umniejszając niewątpliwym walorom ideowym i artystycznym tej książki. Wydaje mi się, choć to może sądzić naiwny, że klucz pokoleniowy nie jest wystarczający, by bez krzywdy dla treści tych książek dokonać pewnych uogólnień. Chciałbym *Wieloryby i ćmy* wziąć w obronę, by choć częściowo oddać sprawiedliwość tej, mam wrażenie, zaledwie spostonowanej książce.

Opór budzi sam koncept recenzowania duetu Twardoch-Dehnel w jednym tekście, by obu docenionym wcześniej przez Nowackiego pisarzom „dowalić”. Znakomity językowo, niepozabawiony racji, pełen uszczypliwości, ale nieco powierzchowny artykuł katowickiego krytyka „życzliwi” mogliby uznać za wyzyskujący dwa silne źródła resentymetu i złośliwości: wynikającą z różnicy pokoleniowej zazdrość o młodość oraz zawiść związaną z korzystaniem z dobrodziejstwa życiowej fali przez roczniki Dehnela i Twardocha. Wiem, że Dariusz Nowacki wyraża przede wszystkim zaniepokojenie o jakość literacką dzienników, jednak jego ocena wydaje mi się za surowa w swojej dezaprobach dla medialnej strategii komunikacji Twardocha i Dehnela („autolans awatarów”²). Przytyki Nowackiego wymierzone są również w zaszerogowanie genologiczne; krytyk ma wątpliwości, czy Twardoch napisał dzienniki, czy może rozbudowany autopromocyjny wybór zapisków z Facebooka, które dociężą aforyzmami à la Sándor Márai. Czy poza autolansem znajdziemy w tej książce coś jeszcze? Zdecydowanie tak.

2 Ibidem.

3 M. GŁOWIŃSKI et al.: *Słownik terminów literackich*. Red. J. SŁAWIŃSKI. Wyd. 4. Wrocław 2002, s. 118.

4 Zob. *Na górze się bywa*. Z S. TWARDOCHEM rozmawiała A. SZARLIK. „*Twój Styl*” 2016, nr 1.

5 Jest to wpis z godz. 9.00, później edytowany. <https://www.facebook.com/szczepan.twardoch>.

Dzienniki czy postmodernistyczne przypowieści?

Słownik terminów literackich pod redakcją Janusza Sławińskiego poucza, że dziennik to „zespół prowadzonych z dnia na dzień zapisów, od ściśle dokumentacyjnych, których zadaniem jest utrwalenie bieżących wydarzeń (diariusz), do takich, które zbliżają się do wypowiedzi literackiej”³. Twardoch realizuje to drugie zadanie, tworzy literaturę – nawiązując przy tym do tradycji dzienników Gombrowiczowskich, gdzie przygody życiowe i mniej ważne zdarzenia są katalizatorem pewnych idei artystycznych, filozoficznych i estetycznych. Z tej inkarnacji dzienników podśmiewa się również Nowacki, nie formułując tego wprost, jednak uznając dzienniki za niedojrzałe epigoństwo naznaczone facebookową netetykieta.

W pierwszej kolejności warto zastanowić się, czy w przypadku tych wyselekcjonowanych i puentowanych zapisków literackość nie jest czymś, co usuwa ludzki, inercyjny, niezborny charakter zdarzeń. Przecież nie wszystkie z nich nadają się do estetycznego przepracowania. Pisarz oznajmia w wywiadach, że *Wieloryby i ćmy. Dzienniki 2007–2015* powstały poprzez usunięcie znacznej części notatek, które zdaniem pisarza nie były godne miana literatury⁴. Może jednak Twardoch powinien czekać na swego Maxa Broda...? Utało się, że po dziennikach spodziewamy się znalezienia wyjaśnień pewnych tajemnic pisarza i jego warsztatu; w tym przypadku lektura to rozkosz podglądacza i poszukiwaczy skarbów, a nawet całunu.

Może Twardochowi chodziło jednak o coś innego? „Literatura, podróże, życie codzienne – z osobistej perspektywy pisarza. Dzienniki Szczepana Twardocha. Wyznanie? Autokreacja? A może nowoczesna powieść?” – niezwykle celnie zgaduje wydawca, odpierając ataki potencjalnych malkontentów, oczekujących „typowego” dziennika. Przecież już sama okładka jest marketingowym majstersztykiem. Pogrubiony wypukły druk tytułu, który został umieszczony na podbródku pisarza, pozwala czule pogłodzić lub musnąć jego twarz. Dzienniki wytwarzają w przeważającej mierze czarującą, a z rzadka irytującą aurę. Na pewno zaś wzbudzają emocje. Są one jednak trudnym do zaklasyfikowania tworem, a także znakiem czasu; ich premiery, z najdobitniejszym przypadkiem *Kronosa* Witolda Gombrowicza, stanowią wielokanałowe przedsięwzięcia.

Reżyserować wielkie życie

Jedenastego stycznia 2016 roku, komentując śmierć Davida Bowiego, Twardoch powiada: „Nie płaczcie po Davidzie. Zazdroście mu. Tak pełnego życia, tak starannie wyreżyserowanego i owocnego aż do wielkiego finału. Uczcie się z tego wielkiego życia”⁵. Twardochowi bardzo imponuje panowanie nad pisarstwem i przebiegiem kariery; również nad tym, jak jest ono odbierane oraz w jaki sposób prezen-

tuje się on sam. Prozaik ma ambicje władania nad wnętrzem i zewnątrz. Wytwarza to specyficzną sytuację, w której Twardoch bardzo poważnie traktuje społeczne role „pisarza”; usztywnia się, kontestuje, stroi fochy, gra ze światem, ale wciąż stara się panować, reżyserować. To wcale nie jest zarzut, jedynie próba analizy przyjętej strategii.

Prowincjonalny światowiec

Być może słuszność należy przyznać tym, którzy obecny w piśtarstwie Twardocha patos wymieszany z codziennością nazywają manierą, a twórcę nadętym prowincjonalnym bufonem i zgrywusem? Już to ostatnie sformułowanie jest symptomatyczne, bo o ile można być wymuskanyim waźniakiem z jakiegoś mitycznego centrum: Warszawy lub Krakowa, to czy można być prowincjonalnym, ale światowym, górnośląskim dandysem, flâneurem? No właśnie, można. Na tym polega fenomen tego pisarza. Awans społeczny i intelektualno-artystyczny jest procesem, z którego Twardoch świetnie zdaje sobie sprawę. Wyznaje:

Niczym gnostyk po kolejnym wtajemniczeniu żyję i zawsze żyłem w przekonaniu, że jeszcze niedawno byłem bardzo głupi. Kiedy miałem osiemnaście lat, wspominałem z politowaniem siebie piętnastoletniego. Osiemnastoletni wydawałem się głupcem sobie dwudziestoletniemu i teraz też wiem, że jako dwudziestoparolatek byłem durniem. s. 159

Takie nastawienie sprawia, że jeszcze niejednego możemy się po autorze spodziewać. Solidna podbudowa konkretnego egzystencjalnego i mitów, jaką stanowi dla niego Śląsk (stałe powracający w tych dziennikach), jest raczej gwarantem tej ciągłości, a nie przeszkodą w wymyślaniu siebie. Czytelnik może obserwować ewolucję tej twórczości. Ewolucja ta jest dostrzegalna w każdej kolejnej książce Twardocha – od *Obłędu rotmistrza von Egern* do *Dracha*.

Miejsce urodzenia i jego historia jest dla Twardocha ciągle formułowanym na nowo problemem, wyzwaniem intelektualnym, polem do spekulacji oraz stawiania pytań. Śląski krajobraz i zamieszkujący go ludzie ucieleśniają zmiany, potencjalność uginającą się pod ciężarem determinant historycznych. Choć w przypływie gniewu na odmowę rejestracji Stowarzyszenia Osób Narodowości Śląskiej Twardoch może napisać na Facebooku „Spierdaj Polsko”, to bez kłopotu zdobywa się na autoironię:

Lubię tych wszystkich martwych Węgrów bardzo, stanowią maleńki wyjątek w mojej sprawiedliwej, powszechnej mizantropii podlanej śląskim resentymentem, najżałośniejszą z ksenofobii, przy której trwam bohatercko, tak jak naiwne

kobiety trwają przy złych mężczyznach i w kłótniach o zupełnie tracą kolejne zęby.

s. 64

W innym fragmencie objaśnia, dlaczego woli żywioł myślenia o możliwościach zaistnienia różnych scenariuszy niż wierność faktom. Pisarz analizuje napięcia i namiętności, które zostały stłumione, rozmyśla o przegranych sprawach, małych klęskach, które mogą zdruzgotać albo wzmocnić. Dzienniki są bardzo nastrojowe: dionizyjskie, rodzinne, światowe, szpanerskie. Pisarz niezmiennie celebrytuje w nich cichy smutek egzystencji, który jawi mu się jako istota wielokrotnie hipostazowanego „życia”. Ważną rolę pełni też potencjalność jako możliwość zaistnienia innego scenariusza, to ona napędza twórczą wyobraźnię pisarza. Autor *Tak jest dobrze* tłumaczy:

Nie sędzę, nic nie sędzę, tylko pytam, a po co pytam? Nie wiem. Nie jestem ciekaw odpowiedzi, jestem ciekaw tylko samych pytań, interesuje mnie to, co być mogło, a nie to, co rzeczywiście było. To, co było, jest krótkie i nieważne, było tak i tak, napisała, co napisała, wysłała, on odczytał, przeciął, schował do książki, koniec. Wszystkie zaś pytania, czyli to, co być mogło, to istota życia, cokolwiek w ogóle „życie” znaczy.

s. 140

Twardochowi nie przeszkadza również status Lorda Paradoxa, który celebrytuje wewnętrzną sprzeczność, stan, w którym „tak” i „nie” mieszają się z sobą. Gdy trzeba, pisarz zdecydowanie odcina się od jałowych tematów, a świat dzieli na mój/nasz – istotny, cielesny, bio-historyczny, i nie nasz – kazuistyczny, publiczny, koniunkturalny, służebny, czczy:

Sprawy naszych przyjaciół, naszych kobiet, naszych rodziców i naszych dzieci, sprawy, z którymi należy się utożsamiać – chętnie się powtarzam tutaj – to nieustająca praca nad tym, jak przyrządzić sało do wódki albo dobry rosół, albo dobre penne arrabiata czy co kto tam woli, filet mignon, humus, dał czy cokolwiek, to bardzo ważne, ważniejsze od demokracji, Ojczyzny czy innych spraw, które udają, że są czymś więcej niż tylko dekoracjami, przykrywającymi wieczną i niezmienną relację rządzących i rządzonych. Lepiej utożsamiać się z którąś stroną w sporze o to, kiedy wino pić ze szklanki, a kiedy z kieliszka, niż być pravicowcem czy lewicowcem. Warto spierać się, czy lepszy krawat, czy skórzana kurtka, a nie warto o to, czy podatki lepsze niższe czy wyższe – jeśli do obowiązków należy, to ewentualnie spierać

się o to można, byle bez zaangażowania. Warto pieczołowicie gromadzić sprawdzone recepty na kaca, a nie warto oddawać swojego wnętrza na pacht receptom na wzmocnienie klasy średniej czy walkę z wykluczeniem. Warto przekonywać przyjaciół, by ciepłymi wieczorami siadywali z nami przy stolikach pod gołym niebem, warto palić papierosy, śmiejąc się w nos wszystkim, co tchórzliwie boją się śmierci i chorób (jakby zamierzali żyć wiecznie), warto czytać wielkie powieści, warto pisać, warto zarabiać pieniądze i je wydawać, warto kochać to, co obejmuje się wzrokiem, wyszedłszy na wzgórze, a reszta to niepotrzebne hipostazy, symulakra, zupełnie zwykłe kłamstwa.

s. 148-149

Sybarytyzm Twardocha, zaangażowanie w dionizyjskie radości ciała i stołu są przeciwstawione neofityzmowi, politycznemu zaciętrzewieniu. W jednym z wywiadów pisarz mówi: „Kategoria życia, pisanego dużą literą, jest dla mnie bardzo ważna. Interesuje mnie ono artystycznie, w ogóle, jako całość ludzkich spraw w swojej dynamice rozpostartej na osi czasu w relacji do innych osi, innych ludzi”⁶. Gdy Twardoch będzie krytykował przekład *Dzienników* Samuela Pepysa autorstwa Marii Dąbrowskiej, to spuentuje:

A to przecież ważne, bardzo ważne, kiedy Pepys jadł te swoje *beans and bacon*. Bo co, jeśli tajemnica Życia ukrywa się właśnie w tym, że jadł ten boczek z fasolą dziewiętnastego czerwca, będąc ciągle zachwyconym piersiami pięknej Mercer, a nie dwudziestego, po śpiewaniu z ojcem i żoną w ogrodzie?

s. 130

Proste przyjemności urastają w oczach pisarza do iluminacji, mogących wyjawiać prawdę o życiu. Sprzężenie pomiędzy rozkoszą, błogością pełnego brzucha i zachwytem pięknym kobiecym ciałem jest tak samo ważne, a może nawet ważniejsze niż lektura Petera Sloterdijka. Pisarz do życia jako ulubionej figury i hipostazy ma stosunek mistyczny, dostrzega to, co jednostkowe, ale zauważa też pierwiastek powtarzalny. Uosobienie tego paradoksu wyrażone jest następująco:

Myślę o moich mniej więcej rówieśnikach. Każdy niesie swoje. Coś. Samotność. Obojętność. Wewnętrzna śmierć. Poczucie niezrealizowania. Pieniądze, to znaczy ich brak. Obowiązki. Dzieci. Brak dzieci. Spieprzone małżeństwo albo ciągły brak stabilizacji. I zawsze tęsknota, za czymś. Za czym? Zawsze za czymś innym. Życie jest gdzie indziej. Zawsze.

s. 224

6 Jeśli życie ma sens – wywiad. Z S. TWARDOCHEM rozmawiał R. RIENT „Zwierciadło. Rozwój – psychologia – styl życia”. <http://zwierciadlo.pl/kultura/jesli-zycie-ma-sens-szczepan-twardoch-wywiad/3>.

Własne małe sprawy

Twardoch z jednej strony tkwi w gorączce historycznej, poczuciu, że jego domowe historie mają znaczenie i skrywają jakąś elementarną mądrość, prawdę. Z drugiej strony odrzuca zbędne spory, słowa pisane wielką literą. Wie, że leżące u ich podstaw nierozstrzygalniki są wyłącznie nieuzgodnioną oscylacją między możliwościami, czczym sporem wyznawców, których prawdy są pozbawione wspólnego mianownika.

Pisarz patrzy na angażujące politycznie subiektywizmy z politowaniem, przymrużeniem oka i wie, że nie warto się nimi zajmować. Jednak ten dystans jest pozorny, ponieważ ze swojej subiektywności: języka, pochodzenia, rodzinnych historii, tworzy fundament pisarstwa. Sprzeczność jest jego ulubioną figurą retoryczną, której przykłady z uporem tropi w sobie i innych. W jednym z fragmentów konstatuje:

„Pragnę bardzo stanowczo oświadczyć, że nie utożsamiam się ani ze »sprawą palestyńską«, ani ze »sprawą izraelską«, bo z żadną »sprawą« się nie utożsamiam. Mam tylko kilka swoich własnych, małych spraw do załatwienia.”

Bardzo mi się to spodobało, bo powzięły mi się kiedyś postanowienia, właśnie powzięły się, a nie ja je powziąłem: **ufać tylko temu, co wewnętrznie sprzeczne, skandaliczne, absurdalne, a odrzucać to, co spójne. Być niekonsekwentnym, a czasem konsekwentnym. Zaprzeczać samemu sobie i w ogóle oddać się w pacht chaosowi, odjąć rzeczywistości i życiu tłumaczące je filtry i formuły i próbować patrzeć tak, jak mógłby patrzeć ociemniały od urodzenia, któremu nagle przywrócono wzrok. Nie rozumieć, nie widzieć, tylko patrzeć. Tak się oczywiście nie da, ale próbować warto.** I w efekcie ja również utożsamiam się wyłącznie z moimi własnymi, małymi sprawami, które oczywiście wcale nie są sprawami, z którymi utożsamia się Gabiś, bo jego są jego, a moje są moje.

s. 142–143⁷

7 Wszystkie podkreślenia w cytatach z recenzowanej publikacji – M.K.

Odrzucenie koherencji jako fałszu leży u podstaw światopoglądu wyłaniającego się z *Wielorybów* i *ciem*. Twardoch – reżyser własnego życia – „rzuca się” w wir chaosu i gry pozornie niespójnymi tematami: mamy Pilichowice i mamy gnanie po autostradach samochodem z prędkością 200 km na godzinę, mamy chodzenie do sklepu na wsi po bułki i mamy lans na placu Zbawiciela. Te światy pozornie niezgodne współwystępują na równych prawach. Nie pozostawiają jednak pisarza obojętnym, wzbudzają emocje, które poddaje on namysłowi.

Wstyd wstydu

Wstyd to ważne uczucie, które jest dla pisarza punktem zero pisania, a właściwie podstawą do zrozumienia po gombrowiczowsku pojmowanego Kościoła międzyludzkiego. Twardoch definiuje wstyd, sprowokowany przez pewną dziewczynę, której się przysłuchuje: „Nie wydaje mi się zdolna do wstydu, bo wstydzić się można wtedy, kiedy jakoś rozumie się ponurą dynamikę relacji międzyludzkich. A ona przecież nie rozumie nic” (s. 111). Dziewczyna śmieje się ze wsi, z której pochodzi. Jej zachowanie wywołuje w pisarzu refleksje o języku, domu, stosunku emocjonalnym do niego. Ważną rolę odgrywa tu także akcent, o którego istnieniu Ślązacy najczęściej dowiadują się dopiero wtedy, gdy wyjadą poza swoją domowiznę:

Czy wstydziłbym się, gdybym uciekł z mojego śląskiego mikrokosmosu? Czy wstydzę się, że „moja mowa mnie zdradza”, nawet kiedy mówię po polsku, czy wstydzę się pochyłego „a”, dziwnej składni i śmiesznej, wznoszącej intonacji w pytaniach? Może powinienem. Dla ćwiczenia w pokorze, umniejszania samego siebie, dla postępowania ku wyzwoleniu? Może należałoby się oderwać od tych przyrodzonych fundamentów, jak święty Franciszek położyć się nago na gołej ziemi? A potem wstydzić się tej nagości, lecz być wolnym? Czy próbuję wstyd zmienić w dumę, tak jak dziewczyna, czy raczej pychę kieżnać wstydem?

s. 112

Twardoch zastanawia się, czy mógłby się wstydzić rodzinnych stron, akcentu i sposobu budowania wypowiedzi. Te praktyki były popularne jeszcze w pokoleniu jego rodziców. Sam je jednak odrzucił. Mówi wreszcie, że jego duma/wdzięczność z bycia Górnosłazakiem nie jest formą kompensacji, w której wstyd zamienia się w dumę. Być człowiekiem akcentu to być w innej pozycji. Autor *Morfiny* tylko pozornie myśli o pochodzeniu i języku jak o niebędącym powodem do dumy ciężarze. Ryszard Koziołek poucza, że akcent czyni także: „widzialnym i odrębnym, daje możliwość oporu i **różnicowania**”⁸. Pisarz zdaje sobie z tego sprawę. Zbigniew Kadłubek w zgodzie z tym, co myśli Twardoch o roli życia, pisał:

Historia magistra vitae? Cycerońskie zdanie rozumie się inaczej: historia magistra imperii – historia nauczycielką panowania i rozkazywania. Ktoś tu użył fortelu? Ależ nie! Historycy decydują, czy kogoś należy wykluczyć czy przyjąć, obdarować czy też sponiewierać. To nie jest dobry pomysł, żeby na Górnym Śląsku historię traktować jako nauczycielkę. Niczego nas nie nauczyła. Niegodną była preceptorką, kłamliwą, przewrotną. Nas najwięcej nauczyło życie.

8 R. KOZIOŁEK: *Niewspółmierność historii literatury do historii innych*. W: *Przyszłość polonistyki. Koncepcje – rewizje – przemiany*. Red. A. DZIADEK, K. KŁOSIŃSKI, F. MAZURKIEWICZ. Katowice 2013, s. 104.

Życie winno pouczyć historię (i historyków!). Historia niech się uczy od życia. Niech historia sobie daruje swój tandetny dydaktyzm. Niech historia posłucha ludzi⁹.

9 Uwagi zamieszczone na profilu autora na portalu społecznościowym Facebook. <https://www.facebook.com/Zbigniew-Kad%C5%82ubek-1486548688313006/?fref=ts>.

10 S. TWARDOCH: *Drach, czyli Śląsk*. „Fabryka Silesia” 2013, nr 1 (3), s. 94, 95.

Dlatego właśnie Twardoch chciałby w dionizyjskim szale odrzucić swą historię, kulturowe fundamenty. W tych słowach pobrzmiwa echo jednego z felietonów zamieszczonych w czasopiśmie „Fabryka Silesia”, w tworzonej przez niego w latach 2012–2013 rubryce „Na Skwōł Pisane”¹⁰. W felietonie autor *Morfiny* objaśnia kluczową dla powieści figurę dracha, smoka, panteistycznego bóstwa. Zjednanie z nim może się odbyć jedynie w świętym uniesieniu, które jest nie z tego świata – jest nie-ludzkie, magiczne i cielesne. Usuwa historię, otwiera prześwit i ustanawia osobliwe „teraz” pomiędzy mistyką a światem materialno-duchowym.

Próba wyrażenia stosunku do śląskich problemów, a tym samym do relacji centrum – peryferie jest w moim odczuciu najmocniejszą stroną dzienników. Być może ze względu na specyfikę tego tematu ogólnopolska krytyka nie zajęła się nim należycie.

Czasem kompot, czasem prosecco

Lektura *Wielorybów i ciem* przynosi czytelnikowi wiele różnych bodźców. Twardoch miesza światowe z prowincjonalnym, uniwersalne z partykularnym, stawia diagnozy, pisze o tym, co dla niego ważne. Rodzi się wobec tego pytanie, na ile ten „dziennik intymny” jest intymny. Jeśli jest, to najczęściej intymnością życia duchowego i autokreacji, w której pisarz skrywa swoje miejsca czułe, wstydliwe, a eksponuje te, nad którymi jako twórca-reżyser panuje. Gra przeciwieństw jest nieustanna, narracja lawiruje pomiędzy odpowiedzialnością, zaangażowaniem a dystansem, nihilizmem i melancholią. Dzienniki są ponadto dziełem o charakterze nieomal aforystycznym, sprawdzają się jako źródło wielu bon motów i sentencji: „Nie tęsknię za przeszłością, nie wyglądam odległych utopii, patrzę tylko, jak terażniejszość przemija” (s. 98) – wyznaje patetycznie Twardoch. Łukasz Najder nie bez przyczyny ten styl pisania określa mianem „wagnerowskiej prozy”¹¹.

Autor *Morfiny* szczerzy nam faktów z życia rodzinnego, wiemy, że jeden z synów jest jak wszyscy Twardochowie: ojciec, dziadek, inni protoplaści, *out of context* – ma swój świat. Zdaniem Twardocha, mężczy członkowie rodu uczestniczą w świecie zewnętrznym, ale ważniejszy jest ten, który wytwarza się w nich samych. Rodzina daje pisarzowi „ciepło bliskości i zrozumienia”. Autor podejrzewa, że jest to uczucie fałszywe, wątpię w to jednak, gdyż świadczą o nim dowody na poziomie molekularnym. Dzieci są dla niego kontynuacją, przedłużeniem własnego życia. Być może prozaik zauważa analogię

11 Ł. NAJDER: *Ja z jednej i ja z drugiej strony*. „Dwutygodnik. Strona Kultury”. <http://www.dwutygodnik.com/artukul/6222-ja-z-jednej-strony-i-ja-z-drugiej-strony.html>.

do myśli zawartych *Sonecie II* Szekspira: „Bardziej pochwałą piękna wizerunek, / Gdy rzekniesz: »Starość moja niech zaliczy / To dziecko śliczne na własny rachunek«, / W dowód, że piękność po tobie dzie- dziczy. / W nim się na starość twoja młodość odrodzi, / W twej krwi gorącej, choć ją wiek ochłodzi”¹². Twardoch najzupełniej szczerze wyznaje, że rozmowa z dzieckiem, odczarowywanie i zaczarowywa- nie świata poprzez pytania i odpowiedzi, jest mu bardzo potrzebna:

Po bułki chciałem pójść z synem, bo krótki spacer sprzyja roz- mowie abstrakcyjnej, oderwanej od scenografii, niezahacza- jącej o zabawki i przekłętę „Zygzaka Makłina”, za to z dzie- cięcymi głupimi pytaniami „dlaczego” i z dorosłymi głupimi odpowiedziami „dlatego”; bardzo potrzebujemy, mój syn i ja, tych głupich pytań i głupich odpowiedzi, nie przynoszą nam żadnej mądrości, ale otaczają nas bezpiecznym ciepłem rozu- mienia, cóż z tego, że fałszywym, lepsze fałszywe niż żadne.

s. 56

Szczątkowe informacje otrzymujemy o żonie, doktor archi- tektury Agacie Twardoch. W zasadzie jest to kilka zdań: „Kobieta, która jest moją żoną, ma wspaniałe trzydzieści jeden lat, a wczoraj miała lat osiemnaście i od tego czasu jestem cichym świadkiem historii jej ciała” (s. 97). Że jest ona bardzo dla niego ważna, to powiedzieć mało. Autor *Dracha* w jednym z wywiadów tak odpo- wiada na pytanie dziennikarza:

- 15 lat jest pan w związku...

- ...proszę pana, ja nie jestem w związku, ja w ogóle nie rozumiem, co to jest „związek”. Jestem żonaty, to jest mał- żeństwo, nie żaden związek. Związek to może być radziecki albo zawodowy... Proszę mi wybaczyć, ale słowa są dla mnie ważne. Nienawidzę słowa „związek” w tym kontekście tak samo, jak nie cierpię określić „partner” i „partnerka”.

- Dlaczego?

- Bo to ustawia relacje ludzi tak, jakby to była spółka jawna, cywilna, a najczęściej z ograniczoną odpowiedzialnością. W tym nie ma życiowej odpowiedzialności, konkretności, romansu. Są ustalone granice, wzajemne zobowiązania. Jak ludzie zostają kochankami, to nie po to, by spisać intercyzę: „tu mnie możesz dotknąć, tutaj pocałować, to mi zrobić, a ja zrobię ci to”. Coś potwornego! Wszystko ustalmy, nazwijmy, wypowiedzmy – nie ma w tym przyciągania. To nie mój prob- lem, ale samo nazewnictwo: „związek”, „partner” – ustawia relacje międzyludzkie w sposób nieludzki¹³.

Dandys Twardoch ma zasady i swoje święte sprawy, których splugawienie byłoby nieodwracalne i uderzyłoby w etyczne fundamenty jego światopoglądu. W całym dzienniku widać, że właściwe ustalenie relacji międzyludzkich z rodziną, przyjaciółmi, ze światem jest dla Twardocha bardzo ważne. Poczucie „niezłomnej odpowiedzialności”, które wiedzie pisarza, jest nieraz wystawiane na próbę za sprawą wielkomijskich pokus. Prozaik jednak szybko przytomnieje, na ziemię sprowadzają go myśli o czekającej rodzinie i grobie na pilichowickim cmentarzu:

Wracam na Śląsk pociągiem z Budapesztu. Czasem myślę sobie, że mógłbym ten pieprzony Śląsk przegapić i pojechać dalej, ale potem zaraz myślę sobie, że jednak nie, bo w Budapeszcie nikt na mnie nie czeka, a na Śląsku czekają na mnie dzieci, żona i miejsce na cmentarzu.

s. 172

Homo historicus i życie

Wizja człowieka stającego się jednością z ziemią ma swoją podstawę w agrarnej i ludowej koncepcji kosmosu, porządku, którą prozaik zdaje się podzielać. Jest to wizja totalna. Grób w wyobraźni pisarzy awansu społecznego pochodzenia robotniczego i chłopskiego jest niezwykle ciekawym motywem. We Wszystkich Świętych rozmyśla:

Pierwszego listopada stoję przy grobach, tak jakbym sam trochę w nich leżał. Myślę o kościach, po których chodzę po bułki i gazetę, myślę o tej wielkiej łasce życia na ziemi przesiąkniętej ciałami moich świętych przodków, świętych nie życiem, przecież tak niewiele wiem o ich życiu, cóż wiedział będzie o moim życiu mój syn? – świętych obecnością.

s. 31

Fakt obecności, namacalności historii, osadzenia w konkretnym miejscu jest dla pisarza bardzo ważny. Świadomość obecności to jakiś refleks tajemnicy, prześwit, w którym górnośląskie losy stają się opowieścią lub nauką na życie.

Tłumaczę sobie jednak, że to wielka łaska żyć w świecie pozbawionym formy, w świecie, w którym **nie ma Żyda ani Greka, ani chrześcijanina, ani socjaldemokraty, bo w ogóle nie ma w nim nikogo, wszyscy zupełnie sami i tacy sami, martwi i wolni, i dzięki temu można uśmiechnąć się ku niebu, unosząc się w ciepłym oceanie społecznej bezformności, nie znajdując siebie samego nigdzie, nigdzie siebie samego nie lokując.** Nie powstanie w tym świecie nic wartościowego, ale też nic wartościowego nie zginie. Nie ma

ekstazy ani rozpaczy, tylko miły, ciepły smutek, jedyna alternatywa dla katatonii.

s. 95

Twardoch sugeruje, że wszelka umundurowana idea nie miała na Śląsku szans, że to kraina bezformia, która jednak daje poczucie nieprzynależenia, smutnego bezruchu, ale i wolności bycia „samo-swoimi”. W innym fragmencie ilustruje tę tezę dobitnie: historia nie może być nauczycielką nienawiści, pożywką dla resentymentu:

Więc wszędzie trupy. Trupy w takiej liczbie, że nie wynika z nich żaden morał. Żadna nauka na przyszłość ani żadne zrozumienie przeszłości. I nie układają się te użyźniające Śląsk trupy w żaden dekret, w żadne prawo, w żaden akt własności. [...] I znowu nic z tego nie wynika. Nie umiem i nie chcę upleść żadnego postulatu z tych wszystkich zabitych i zmarłych dobrych, złych, winnych i niewinnych, i zwykłych – czyli trochę dobrych i trochę złych, z jakąś winą, ale nie taką, aby zasłużyć na śmierć. Nie tylko nie umiem upleść z trupów postulatu politycznego, nie wychodzi mi z tego nawet żaden postulat moralny. Bo proste „nie morduj” to już powiedziano dawno temu, niewiele da się do tego dodać.

s. 34-35

Potencjał geopoetycki dzienników jest znaczący, ich tytuł *Wieloryby i ćmy* wydaje się odnosić do tworów odległych, jednak jest także po części metaforą, kamuflażem śląskiego krajobrazu. Spitsbergen jako antynomia Silesia Superior wcale nie jest tak daleki, zwłaszcza gdy przyrównamy go do obszarów przemysłowych. Zresztą robi to sam Twardoch:

Wzniosły jest krajobraz zdemobilizowanej totalnej mobilizacji, die totale Mobilmachung demobilisiert, krajobraz umarłych fabryk, hut i kopalń jak szkielety **pradawnych Lewiatanów**, zbrojenia w grudach betonu jak wieczne **żebrą pletwali** wygrażające północnym bogom spitsbergeńskich plaż.

s. 59

Martwym ćmom blisko do ćmy – czyli po śląsku zmroku, ciemności. Ta tonacja należy zresztą do ulubionych barw pisarza. Zarówno wieloryb, jak i ćma to figury złowrogie; wieloryb jest bliski Lewiatanowi, ćma to symbol śmierci. Te minorowe nastroje zyskują czytelną kontrę, odpowiedzią na nie ma być postulat życia i twórczości jako sztuki – wyreżyserowanych, kontrolowanych na tyle, na ile to możliwe. Literatura w ujęciu Twardocha ma jasną misję – ocalenie od niepamięci.

Żeby coś ocalić

Pisarz ma potrzebę utrwalania świata, przyłapywania przemijania, które jego zdaniem najlepiej rozpoznać można w zmieniającym się za oknami pociągu krajobrazie:

Poszedłem na koniec pociągu, przycisnąłem telefon do szyby i nagrałem minutę uciekających w przeszłość torów w jakości HD, często tak robię, sam nie wiem po co, mam już dużo takich minutowych filmów, fascynują mnie uciekające w przeszłość tory, słupy i nasypy, ich dramatyczna perspektywa malarska i eschatologiczna, i biograficzna. A kiedy przycisnąć telefon do szyby, to obraz jest stabilny. Nigdy potem nie oglądam, bo po co oglądać minutowy film z uciekającymi w przeszłość torami, ale ciągle nagrywam. **Żeby coś ocalić.** s. 123

Wolty Twardocha są znaczące, okazują się grą z czytelnikiem i jego oczekiwaniami, po części również kaprysami, które w puenie przechodzą w poważne wyznaczenie: nagrywam w *high definition*, ale nie oglądam. Po co nagrywać? Żeby coś ocalić – odpowiada autor *Dracha*. Utrwalanie, autokracja mają jednak swoje granice.

Sekwencje zdarzeń, ludzie, których spotyka, nie zawsze tworzą sensowny, znaczący obraz czy historię, z której coś wynika. Zarówno życie, jak i literatura to ulubione „święte” słowa, które stanowią kluczowe pojęcia światopoglądu pisarza. Twardoch hamuje na światłach i obserwuje ludzi.

I chciałbym w tej trójce dostrzec jakiś porządek, jakiś sens, jakiś kosmos. Ale nie dostrzegam. W przypadek nie wierzę. Bo ci ludzie, dziewczyna, grubas, staruszka, **to po prostu życie i literatura, w tym nie ma ładu, sensu ani przypadku, bo życie i literatura są większe niż wszelki sens i wszelki przypadek.** s. 43

Gdy trzeba, zaznacza to i mówi:

I tyle. Nie wyciągnę wniosków, wniosków nie ma. Konceptualizacja rzeczywistości społecznej czy ludzkiej w ogóle jest zawsze tej rzeczywistości wymyśleniem, a wymyślać nie chcę. **Za tym, co widziałem, nic się nie kryje, nie ma znaków czasu, jest tylko rozległe uniwersum niepoznawalnego.** s. 27

Literatura jako forma konceptualizacji rzeczywistości jest również formą wytwarzania pewnej siatki symbolicznej, a nie obiektywnym odzwierciedleniem świata¹⁴. Zróżnicowanie gatunków

¹⁴ Dlatego ważne dla autora *Wielorybów i ciem* jest rozprawianie się z aksjologią, prawdami jednostkowymi i obiektywnymi. Jak ta historia, którą przytacza za Mackiewiczem, w której niemiecki czołg hamuje przed wiewiórką. Ciekawych wątku odsyłam do lektury. S. TWARDUCH: *Wieloryby i ćmy...*, s. 21.

zawartych w dziennikach wpływa dodatnie na przyjemność lektury. Każdy znajdzie tu coś dla siebie. Autotematyczne wtręty z pewnością przydadzą się niejednemu literaturoznawcy i regionaliście. Zresztą dzieła Twardocha to ważne lektury na studiach śląskich prowadzonych w naszym uniwersytecie. Miłośnicy podróży i nocnych eskapad po knajpach znajdą impulsy do kolejnych wypraw. Patetyczna i melancholijna tonacja pisarstwa Twardocha umożliwia mimo wszystko lekturę wielopoziomową.

Na zakończenie, zachęceni przez Dariusza Nowackiego, dokonajmy pewnego eksperymentu, przewertujmy inicjalne wpisy dzienników Gombrowicza i Twardocha. Pierwszy urodzony w Małoszycach, drugi – w podgliwickiej Żernicy.

Poniedziałek

Ja.

Wtorek

Ja.

Środa

Ja.

Czwartek

Ja¹⁵.

15 W. GOMBROWICZ: *Dziennik 1953–1956*. Kraków 2004, s. 9.

Gombrowicz wspominał w *Testamencie*, że gdy postawił pod czwartkiem ostatnie „ja”, był to dla niego moment przełomowy. Wówczas ugruntowało się w nim przekonanie co do celu dziennika. Miało nim być utwierdzenie się we własnym „ja” – wbrew wszystkiemu. Twardoch o swoje prawo do głosu walczy odmiennie. Otwiera swój dziennik sceną narodzin syna, tym samym narodziny potomka są początkiem diariusza:

Mój syn leży, ma szeroko otwarte granatowe oczy, którymi patrzy, chociaż podobno nic nie widzi. Małymi dłońmi przesuwa sobie świat przed nosem, zwiera i rozwiera palce cienkie jak u żaby. Stoję nad nim, a on mnie nie dostrzega, i wydaje mi się, że w jego niedojrzałym mózgu kryje się jakaś tajemnica.

s. 5

Już w tym inicjalnym fragmencie mamy tak typowe dla światopoglądu pisarza, a także jego dzieła, idee: tajemnice życia, poznanie, konkret życiowy, moment przejścia, uniezwyklenie, naddanie sensu, pytanie o potencjalne inne rozumienie – zdawałoby się – prozaicznych zdarzeń. Zewnątrz, bliscy, przyjaciele są dla Twardocha ożywczymi prądami. Jego osobisty głos, niepozabawiony akcentu, wybrzmiewa podczas spotkania innego: człowieka, historii, kraj-obrazu. By ujarzmić potencjał interpretacyjny *Wielorybów i ciem.*

Dzienników 2007–2015, konieczne byłoby napisanie obszernego studium. Mam nadzieję, że postulat wyrażony w tytule niniejszego szkicu zyskał choć częściowe uzasadnienie.

Marek Mikołajec

***Wieloryby i ćmy* Are Not So Dreadful (as They Are Painted)**

Summary: The author of the article, inspired by Dariusz Nowacki's review, proposes a thesis opposite to that of the famous critic, who calls Szczepan Twardoch's and Jacek Dehnel's diaries "a show-off of avatars." In defence of Twardoch's book, *Wieloryby i ćmy* [*Whales and moths*] the author decides to concentrate on its ideological and literary values. Most importantly, he strives to prove that the diaries constitute an original and innovative attempt at developing a genre of intimate diaries and have a multifaceted interpretive potential. The author of *Morfina* [*Morphine*] expresses in his diaries a desire for "directing a great life," understood as a consistent creation of literary works as well as a life imitating literature. The analyses and commentaries included in the article focus on the oppositions and hypostases found in the text, for example, of the world and provincial, history and life, literature and nothingness, settlement and foreignness, life and death, presence and absence, life according to spirit and life according to body, responsibility and its lack.

Key words: Szczepan Twardoch, intimate diary, self-creation